

Nowa powieść autora bestsellerowej *Kotysanki z Auschwitz*

**MARIO ESCOBAR**

DZIECI  
ŻÓŁTEJ  
GWIAZDY



MARIO ESCOBAR

DZIECI  
ŻÓŁTEJ  
GWIAZDY



Z JĘZYKA HISZPAŃSKIEGO PRZEŁOŻYŁA  
Patrycja Zarawska



TYTUŁ ORYGINAŁU:

*Los niños de la estrella amarilla*

Redaktor prowadząca: Ewelina Sokalska

Wydawca: Monika Rossiter

Redakcja: Anna Płaskoń-Sokołowska

Korekta: Bożena Sęk

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Zdjęcie na okładce: © TheNewYorkPublicLibrary (Unsplash.com)

DTP: Maciej Grycz

Copyright © 2017 por Mario Escobar

Published by arrangement with Thomas Nelson,  
a division of HarperCollins Christian Publishing, Inc.

Copyright © 2020 for the Polish edition by Wydawnictwo Kobiعة Łukasz Kierus

Copyright © for the Polish translation by Patrycja Zarawska, 2020

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiegokolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

Białystok 2020

ISBN 978-83-66520-45-5



Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:  
[www.facebook.com/kobiece](https://www.facebook.com/kobiece)



[www.wydawnictwokobiece.pl](http://www.wydawnictwokobiece.pl)

Wydawnictwo Kobiعة

E-mail: [redakcja@wydawnictwokobiece.pl](mailto:redakcja@wydawnictwokobiece.pl)

Pełna oferta wydawnictwa jest dostępna na stronie

[www.wydawnictwokobiece.pl](http://www.wydawnictwokobiece.pl)

# PROLOG

---

Paryż, 23 maja 1941 roku

„KAŻDE POKOLENIE ŻYWI NADZIEJĘ, że świat rozpocznie się na nowo”. Takie były ostatnie słowa ich ojca na dworcu kolejowym. Przykucnął w swoim świeżo wyprasowanym szarym garniturze, by jego twarz znalazła się na wysokości twarzy syna Moïse’a. Chłopczyk spojrzał na ojca dużymi czarnymi oczami i westchnął, nie do końca rozumiejąc, co ten chce mu powiedzieć. Na dworcu było pełno białego dymu o dziwnym słodkim zapachu. Matka patrzyła na nich z powiekami opuchniętymi od płaczu i z zaczerwienionymi policzkami, jakby właśnie dokonała nadludzkiego wysiłku. Moïse pamiętał jeszcze jej cienkie białe rękawiczki, zimny, wilgotny dotyk tamtej zeszej wiosny oraz wrażenie, że jego mały świat rozpada się bezpowrotnie. Tata próbował się zdobyć na uśmiech, ale ostatecznie jego usta pod cienkim kasztanowatym wąsem wykrzywiły się w bolesnym grymasie. Malec kurczowo chwycił się nóg matki, jej zielona wełniana spódnica przykleiła się do jego mokrego od łez nosa. Jana powiodła dłonią po jasnej czuprynie i też przykucnęła. Ujęła zaróżowione pyzate

policzki młodszego synka i pocałowała go posiniałymi wargami. Jej łzy zmieszały się z jego łzami.

Jacob pociągnął młodszego brata. Lokomotywa sapnęła po raz ostatni i z zaworów buchnęła para, jakby ta potężna konstrukcja z żelaza i drewna wzdychała nad losem dusz, które muszą się rozłączyć. Ciotka Judith objęła chłopców gestem tyleż opiekuńczym, ile wyrażającym niepokój. Dokoła nich niemieccy żołnierze krążyli niczym zwabione światłem ćmy. I choć tego poranka rodzina nie włożyła ubrań z żółtą gwiazdą na piersi, chwilami kobieta myślała, że naziści wykryją ich mimo wszystko – wystarczy, że przesuną po nich niebieskawym, zimnym jak kamień spojrzeniem.

Eleazar i Jana odwrócili się i ich płaszcze zaczęły pośpiesznie przemykać wśród ludzi machających na pożegnanie. Jacob i Moïse patrzyli, jak ich rodzice toną w bezkresnym oceanie uniesionych ramion, aż wreszcie znikają zupełnie. Moïse chwycił ciotkę za rękę i mocno uściśnął, jakby chciał się upewnić, że przynajmniej ona zostanie u jego boku. Judith odwróciła głowę i spojrzała na równo przycięte włosy bratanka. Jasne kosmyki lśniły w promieniach słońca, którym udało się przedrzeć przez okienka w dworcowym dachu. Potem popatrzyła na drugiego chłopca, na jego kręcone ciemne włosy w kolorze kasztanów i duże czarne oczy. Jacob wydawał się niewzruszony, ale na jego twarzy malowało się rozdrażnienie, prawie gniew. Zeszłego wieczoru prosił rodziców, żeby ich zabrali z Paryża, obiecywał, że będą grzeczni, ale Eleazar i Jana nie mogli ich wziąć ze sobą, przynajmniej do czasu, gdy znajdą pewną, bezpieczną kryjówkę. Dzieciom Niemcy nie zrobią nic złego, a ciotka Judith była za stara, żeby uciekać. Przyjęła ich pod swój dach sześć lat temu, kiedy nie mogli już dłużej znosić tego, co się działo w Berlinie. W pewnym sensie ciotka

Judith była bardziej Francuską niż Niemką, nikt jej nie będzie niepokoił.

Wyszli z dworca, gdy niebo zaczęło przybierać ołowiany kolor, a na bruku rozpryskiwały się pierwsze zimne krople. Kobieta rozłożyła zielony parasol i cała trójka schroniła się pod nim w milczeniu, próbując osłonić się przed deszczem, który okazał się tak ulewny, że nie było szans, by do swego małego mieszkańca na drugim końcu Paryża dotarli nieprzemoczeni. W tamtej okolicy miasto traciło swój urok – zmieniało się w odrapaną szarą sceneryę, w której blask kawiarni i szyk restauracji zdawały się odległym złudzeniem.

Pojechali najpierw metrem, a potem zardzewiałym, hałaśliwym trolejbusem. Chłopcy usadowili się z przodu na drewnianym siedzeniu, ciotka zaś zajęła miejsce za nimi. Teraz wreszcie mogła pozwolić oczom odpocząć – zwolnić je od wysiłku, z jakim powstrzymywała się od płaczu. Moïse zerknął na brata. Jacob wciąż miał zmarszczone czoło; wśród piegów na jego twarzy lśniły krople deszczu, wydęte czerwone usta sprawiały wrażenie, że zaraz wybuchną. Moïse nie rozumiał świata – brat zawsze nazywał go „nieświadomym” – wiedział jednak, że to, co się wydarzyło, było złe, skoro rodzice musieli się z nimi rozstać. Do tej pory nigdy nie zostawali sami. Dla niego matka stanowiła przedłużenie jego samego. W nocy mimo protestów ojca spał przyklejony do niej, jakby zwykły kontakt z jej skórą dodawał mu otuchy. Jej zapach był jedynymi perfumami, jakie znosił. Wiedział też, że w jej pięknych zielonych oczach zawsze będzie bezpieczny.

Malec spoglądał przez brudną szybę. Fantasmagoryczne postacie przechodniów migają między samochodami dostawczymi i starymi furmankami zaprzęzonymi w konie, których smród wypełniał ulice. To był jego świat. Moïse urodził się w Niemczech,

ale nic nie pamiętał z tamtego kraju. Jego matka jeszcze mówiła w swoim języku, ale on zawsze odpowiadał po francusku, jakby w jakiś sposób chciał zostawić za sobą tamto miejsce, z którego musieli uciekać. Dokąd skierują się teraz? Czuł, że świat zaczął się zamykać za ich krokami, kiedy na szkolnym podwórku koledzy go unikali, jak gdyby żółta gwiazda, którą nosił na piersi, napawała ich jakimś strachem lub przyprawiała o mdłości. Nazywano ich „dziećmi żółtej gwiazdy”, ale on zawsze myślał, że gwiazdy to światła, które Bóg stworzył po to, by noc nie przyszła i nie pochłonęła wszystkiego. Świat jednak zdawał się teraz nieboskłonem odartym z gwiazd, osieroconym, ciemnym i zimnym jak szafa, w której Moïse często się chował, żeby spłatać figła rodzicom, i z której pragnął jak najszybciej wyjść, aby niezgłębiona czerń nie połknęła go bezpowrotnie.

# CZĘŚĆ I

---



# 1

---

Paryż, 16 lipca 1942 roku

JACOB POMÓGŁ BRATU przygotować się do wyjścia. Robił to od tak dawna, że jego ruchy były już mechaniczne. Prawie nie rozmawiali, kiedy zdejmował mu pizamę, ubierał go w spodnie, koszulę i buty. Moïse zachowywał się spokojnie, miał zagubione spojrzenie i obojętną minę, która czasami napawała starszego brata niepokojem. Jacob wiedział, że mały powinien już się ubierać sam, ale w jakiś sposób chciał mu pokazać, że nie jest samotny. Że będą się trzymali razem do końca i że przy pierwszej okazji dołączą do rodziców.

Wiosna minęła szybko, lecz lato, gorące i bez zajęć w szkole, zdawało się ciągnąć w nieskończoność. Ciotka Judith wychodziła bardzo wcześnie do pracy, a chłopcy musieli sobie sami przyrządzić śniadanie, uporządkować i posprzątać mieszkanie, kupić coś do jedzenia na targu i pomagać w synagodze, żeby otrzymać przygotowanie do bar micwy. Ciotka bardzo na to nalegała. Jacob był już prawie w wieku, kiedy żydowski chłopiec staje się pełnoletni wobec prawa. Jemu samemu wszystko to wydawało

się głupotą. Rodzice nigdy nie zabierali ich do synagogi, a zanim przybyli do Paryża, prawie nic nie wiedzieli o judaizmie. Ciotka była jednak bardzo pobożna, zwłaszcza odkąd jej mąż zginął na wielkiej wojnie.

Jacob skończył się ubierać i pomógł bratu umyć twarz. Potem obaj skierowali się do małej kuchni wyłożonej białymi płytkami, które pod wpływem częstego szorowania dawno straciły połysk. Na wysłużonym, pomalowanym na błękitno stole czekał już na nich koszyczek z kilkoma kromkami ciemnego chleba i kawałeczkiem sera. Jacob wziął do garnuszka trochę mleka, zagotował je na niepokażnej kuchence gazowej, po czym przelał parujące do dwóch białych miseczek.

Moïse jadł łapczywie, jakby ktoś miał go okraść z kawałka chleba. W jego dziecięcym życiu nie było ani sekundy, gdy nie czułby nienasyconego głodu. Starszy brat też potrafił pochłonąć wszystko, co znalazło się w jego zasięgu, dlatego ciotka trzymała jedzenie pod kluczem w małej spiżarni, do której wchodziło się z kuchni. Codziennie wyjmowała niewielką rację na śniadanie i na obiad. Wieczorem przyrządzała skromną kolację, zazwyczaj zupę z odrobiną makaronu lub krem jarzynowy. Mało jak dla dwóch dorastających chłopców, ale okupacja niemiecka, coraz bardziej dająca się im we znaki, ograbiała kraj z wszelkich zapasów żywności.

Francuzi, a przede wszystkim paryżanie, wiosną 1940 roku masowo uciekli na południe, ale powrócili do swoich domostw kilka miesięcy później, kiedy się okazało, że barbarzyństwo Niemców nie jest takie okropne, jak sobie wyobrażano. Rodzina Jacoba nie wyniosła się wtedy z miasta, mimo że już byli uchodźcami z Niemiec. Ojciec jednak zachowywał ostrożność, ukrywając się w mieszkaniu siostry z nadzieją, że naziści zbyt łatwo na nich nie trafią.

Jacob wiedział, że dla hitlerowców on i jego rodzina są wyrzutkami z dwóch powodów: ojciec należał niegdyś do partii socjalistycznej, w ciągu kilku lat napisał sporo utworów satyrycznych skierowanych przeciwko nazistom, nie mówiąc już o tym, że zarówno on, jak i jego żona byli Żydami, więc w przekonaniu narodowych socjalistów należeli do rasy wyklętej.

Paryż znalazł się pod bezpośrednim panowaniem Niemiec, reprezentowanych przez marszałka Wilhelma Keitla. Naziści zabierali z okupowanego kraju, co się dało. Wiosną 1942 roku prawie niemożliwe było kupienie kawy, cukru, mydła, chleba, oleju czy masła. Na szczęście ciotka Judith pracowała u pewnej arystokratycznej rodziny, która dzięki czarnemu rynkowi zawsze była dobrze zaopatrzona i obdarowywała pracownicę podstawowymi artykułami żywnościowymi, których nie można było dostać na kartki.

Po skromnym śniadaniu bracia wyszli na ulicę. Miniona noc była bardzo duszna, a parność poranka zwiastowała piekielnie upalny dzień. Chłopcy zbiegli po schodach. Na przetartych, pocerowanych przez ciotkę koszulach nosili gwiazdę Dawida odznaczającą się intensywnie żółtym kolorem.

Wewnętrzny dziedziniec był otoczony czterema skrzydłami kamienicy. Najbardziej luksusowe mieszkania wychodziły na ulicę, najbiedniejsze zaś – na rozległe brukowane podwórko. Gdy dzieci dotarły do niego, wiedziały już, że coś jest nie tak. Wybiegły przez bramę na ulicę. Przy chodniku stało ponad dwadzieścia ciemnych autobusów z białymi dachami. Wokół nich kłębił się tłum ludzi, których do środka wpychali Niemcy w białych rękawicach, z pałkami w rękach.

Jacob poczuł na plecach zimny dreszcz. Chwycił mocno rękę Moïse'a, aż ten zaczął się skarżyć i szarpać.

– Nie wrywaj mi się, do licha! – zawołał Jacob, marszcząc czoło. Pociągnął brata z powrotem do budynku.

Ledwie weszli do środka, dozorczyńni, oparta na miotle, spojrziała na nich z pogardą i zaczęła krzyczeć do żandarmów:

– Nie zabierzecie tych żydowskich szczurów?

Chłopy spojrzeli na siebie i ruszyli biegiem do drzwi swojej klatki. Piskliwy głos dozorczyńni usłyszało trzech żandarmów – zobaczyli, że dzieci przecinają podwórko. Kapral dał znak ręką i razem z dwoma swoimi ludźmi popędził za chłopcami. Gwizdał przy tym przeraźliwie na czarnym gwizdku i wymachiwał w powietrzu pałąk.

Bracia przebiegli po drewnianej nielakierowanej podłodze. Na wysłużonych stopniach i przegniłych deskach ich buty robiły taki hałas, że nie dało się tego nie słyszeć. Żandarmi dotarli do klatki schodowej i spojrzeli w górę. Kapral przywołał windę, a jego dwaj ludzie zaczęli się wspinać po schodach.

Jacob i Moïse, zadyszani, stanęli pod drzwiami swojego mieszkania. Młodszy chwycił za klamkę, ale starszy pociągnął go i pobiegli jeszcze wyżej, na taras na dachu. Zazwyczaj spędzali tam wiele czasu, ukryci wśród rozwieszanej do suszenia pościeli, strzelali z proc do gołębi albo patrzyli na miasto rozciągające się po drugiej stronie Sekwany.

Zasapani dotarli do drewnianych drzwi i przekroczyli próg. Na kilka sekund stanęli w tym czarnym brudnym miejscu i opierając dłonie na kolanach, łapczywie wciągali powietrze. Potem Jacob skierował się w stronę środka budynku. Dachy kolejnych domów ciągnęły się w dal prawie niekończącym się szeregiem kalenic i okazałych tarasów, na których paryżanie gdzieniegdzie sadzili warzywa. Chłopcy wspięli się po przymocowanej do ściany zardzewiałej żelaznej drabince i niepewnym krokiem ruszyli po dachówkach.

Żandarmi patrzyli na uciekinierów z tarasu kamienicy. Wtem kapral – zasapany, mimo że wjechał windą – znów przeraźliwie zagwizdał.

Jacob obejrzał się niespokojnie – może po to, żeby ocenić odległość dzielącą ich od ubranych na czarno mężczyzn, a może po prostu instynktownie, jak ścigany przez sforę psów jelonek, który sprawdza, czy prześladowcy są już blisko.

Dwaj młodszy żandarmi niezgrabnie wspięli się po drabince i wznowili pościg, krusząc butami dachówki. Po kilku sekundach już prawie doganiali chłopców.

Jacob postawił stopę między dwiema dachówkami i usłyszał trzask. Noga uwięzła mu w dziurze, a gdy ją wyciągnął, poczuł w piszczeli nieznośny ból. Z żyłki płynęła krew, ściekając na białą skarpetkę. Moïse pomógł bratu wstać i pobiegli ku ostatniemu budynkowi w tym kwartale. Od następnego dachu oddzielała ich przepaść szeroka na ponad dwa metry.

Moïse obejrzał się na ścigających, a potem zerknął w dół. Mimo intensywnego letniego światła panująca na samym dnie ciemność zdawała się pochłaniać wszystko, co ośmieliłoby się wpaść w tę otchłań. Nie wiedząc, co robić, ze zniknącą miną popatrzył na brata.

Jacob zareagował natychmiast. Tuż u ich stóp znajdował się mały balkonik. Stamtąd ciągnął się gzyms okalający fasadę i zakręcający na główną ulicę. Może udałoby się im dostać do środka budynku i stamtąd wrócić na ulicę, gdzie mogliby spróbować wmieszać się w tłum. Skoczył, nie namyślając się dwa razy. Gdy był już na dole, wyciągnął ramiona, by pomóc młodszemu bratu. Jednak gdy ten rzucił się w jego stronę, czyjeś ręce mocno złapały go za nogi. Chłopiec ciężko runął na dach.

– Jacob! – zawołał Moïse.

Przez chwilę starszy brat nie wiedział, co robić. Nie mógł zostawić malca, lecz wiedział, że jeżeli wróci na dach, obaj wpadną w szpony żandarmów. Nie miał pojęcia, o co tamtym chodzi,

jednak rodzice mówili mu kiedyś, że naziści wysyłają Żydów do obozów koncentracyjnych w Niemczech i w Polsce.

Kapral wychylił się znad krawędzi.

– Cholerny bachor! – krzyknął ze złością, gdy ujrzał żydowskiego chłopca próbującego dosięgnąć gzymsu. Wyrwał młodszego uciekiniera z rąk swego podwładnego i trzymając dziecko za kostkę u nogi, wywiesił je poza brzeg dachu.

– Nie! – wrzasnął Jacob.

Twarz jego młodszego brata spurpurowiała. Chłopczyk mიაł się jak ryba wyjęta z wody.

– Wyłaż tu zaraz! Nie chcesz chyba, żeby twój brat spadł, co? – odezwał się mężczyzna ze złowieszczym uśmiechem, po czym wywindował młodszego z powrotem na dach.

Serce Jacoba biło mocno. Poczul dudnienie w skroniach i w opuszkach palców, kiedy zacisnął pięści. Oddech przyśpieszył mu jeszcze bardziej. Chłopak podniósł ręce, chciał krzyżeć, ale głos odmówił mu posłuszeństwa.

– Właż tutaj, ale już! I tak straciliśmy przez was dużo czasu. Cholerna diabelska rasa!

W zapadniętych oczach kaprała Jacob dostrzegł nienawiść, której nie rozumiał, a którą w ciągu ostatnich miesięcy widywał już u innych osób. Wspiał się po ścianie z powrotem na dach i stanął obok żandarma. Mężczyzna był wysoki i gruby. Zdawało się, że jego brzuszysko zaraz rozsadzi kurtkę munduru. Miał czapkę z zadartym przodem i krawat z rozluźnionym węzłem. Na zaczerwienionej twarzy nieustannie poruszały się brązowe wąsy, a usta się wykrzywiały, jak gdyby wypluwał słowa.

Gdy tylko chłopak znalazł się z powrotem na dachu, dwaj pozostali żandarmi chwycili go pod ramiona i powlekli do budynku, gdzie zaczął się pościg. Potem zjechali windą na parter i zabrali chłopców na podwórko.



WYDAWNICTWO  
**KOBIECE**

Spodobał Ci się fragment tej książki?

Zamów ją w naszej księgarni

**[www.WYDAWNICTWOKOBIECE.pl](http://www.WYDAWNICTWOKOBIECE.pl)**

Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

 [www.facebook.com/kobiece](http://www.facebook.com/kobiece)



ul. Andersa 40A  
15-113 Białystok

e-mail: [redakcja@wydawnictwokobiece.pl](mailto:redakcja@wydawnictwokobiece.pl)

tel. 731-019-059